Nr. 41. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 7 Października 1871

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

LIST

Doktora *Henryka Levittoux* do Doktora *Karola Libelta*

w odpowiedzi na jego artykuł o „Drugiém wydaniu

FILOZOFJI NATURY

w języku polskim, Warszawa 1869", zamieszczony w numerach 17, 18, 19, 20. 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28 i 29

Tygodnika Wielkopolskiego.

(Dokończenie.)

Czy zaś filozofja moja, któréj Pan odmawiając systematyczności w powiązaniu szczegółów, przyznajesz sprowadzenie całéj kreacji do jedności, początku i celu, daje nowy system naukowy stworzenia? to rzecz inna. — Jeżeli bowiem ugrupowanie ciał niebieskich około słońca krążących i wykazanie ich wzajemnéj zależności, tak względem siebie samych jak i względnie słońca, według najściślejszych danych w zasadach geometrji kulistéj czerpanych, stanowi system Kopernika; jeżeli teorja, która tłumaczy formowanie się ciał niebieskich z atomów już stworzonych, z materji więc stworzonéj, nic nie mówiąc o tworzeniu się istot organicznych, nazywa się systemem Laplaça, jeżeli teorja postępowego a ciągłego rozwoju istot organicznych w kreacji ma się nazywać Systemem, dla czegóżby teorja, która tłumaczy i wyjście atomu czyli materji z siły czystéj, z Boga i tworzenie się w drodze ciągłéj a postępowéj przemiany czyli metamorfozy całego kosmos, tak organicznego jak i nieorganicznym zwanego, która całą kreację wyprowadza ze wspólnego elementu i w jedną harmonijną całość wiąże, nie miałaby stanowić nowego systemu przynajmniéj równego systematowi Laplaça, lub Darwina?

Co do nieśmiertelności duszy, czyli życia przyszłego, nie zgadzam się z Panem na to ażebym odmawiał kary, lub nagrody w przyszłém życiu, za złe lub dobre życie na ziemi; skoro mówię, że dusza nasza wracając po śmierci ciała do źródła swego, do swego początku, do najczystszéj Miłości i Mądrości, do Boga, tem lepiéj będzie znała swoją indywidualność. Otóż, nie tylko chciałem przez to wyrazić, że dusza nasza pochodzi z Boga, że o ile na ziemi, jest Bogiem w niższym stopniu Bóstwa, a jak chce religja, że jest obrazem Boga, lecz, że ma w Bogu przyszłe życie indywidualne, nagrodę i karę. — Jakżeby bowiem będąc mędrszą niż kiedy była na ziemi skrępowana zmysłami, nie odszukała w Bogu swéj indywidualności? jakżeby Bóg mógł siebie samego w niéj zabijać? jakżeby mogła zaginąć w Bogu skoro jest Bogiem, skoro myśli, chce, pojmuje się i może, skoro jest mądrością i miłością? jakżeby mogła się zgubić w mądrości, skoro znała się żyjąc jeszcze na ziemi będąc mniéj mądrą i za złe uczynki spełnione na ziemi ze *świadomością złego* nie ucierpieć najdotkliwszych wyrzutów własnego sumienia? — Istoty bowiem, zdaniem mojém nie posiadające wiedzy złego, źle nie czynią w oczach mądrości, więc maluczcy i prostaczkowie, którzy uznania się własnego dopiéro w przyszłém życiu, zostawszy mądrością, dostąpią, w wiecznem szczęściu żyć będą. Idzie zatem, że dusza nasza podniosłszy się w mądrości i indywidualności żałować, a więc moralnie cierpieć będzie, a więc ukaraną będzie za złe tylko czyny ze świadomością złego na ziemi

popełnione i to o tyle więcéj jak tu na ziemi nieraz już żałuje i cierpi, ile mądrość jéj w przyszłém życiu i moralność będzie wyższą od mądrości i moralności jéj doczesnéj, o ile bliższą będzie Boga, jak nią jest w tém życiu. —

Powiesz Pan zgoda, lecz zapytasz nie bez słuszności, co jest indywidualność człowieka, co jest wolna wola, co jest zły postępek i nakoniec co jest złe ze świadomością złego popełnione? Jeżeli jednak zwrócę uwagę Pańską na prawa natury 1°, że w jednéj chwili nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, jak byliśmy przed chwilą; gdyż istota nasza ciągle się zmienia, gdyż materja nowa ze świata zewnętrznego ciągle w nią wchodzi rugując dawną, spożytą, a od któréj to mutacji materji, prawa rządzące tąż materją prostą, tak zwane siły proste, nie są bez wpływu na nasze siły organiczne, na naszą intelligencję, na naszą duszę indywidualną; że więc indywidualność nasza jest indywidualnością zbiorową, któréj każdy moment bytu, czyli oddzielne indywiduum, odpowiadać powinno tylko za swoje czyny*); jeżeli zwrócimy uwagę 2° na wpływ najróżnorodniejszych czynników, które przez wieki wyrobiły w różnych społeczeństwach i narzuciły człowiekowi takie, a nie inne przekonania o złém jak i o dobrém i nie były bez wpływu na przekonania i czyny indywidualne (zemsta na przykład jest grzechem w naszém przekonaniu, kiedy jest cnotą u wyznawcy koranu); jeżeli więc zwrócimy uwagę 3° na to, że nie wszystko jest prawdą w co wierzymy, że każda społeczność może żyć i działać pod wpływem idei o złém jak i o dobrém względnie tylko zbliżonych do prawdy; jeżeli znowu 4° nie bez zasady powiedziano „w dziesiątém pokoleniu odpowiecie za grzechy wasze i ojców waszych, skoro dotykalnie w pewnych chorobach i na pewnych indywiduach widzimy prawdę tę stwierdzoną, która więc i duchowo biorąc rzeczy bez zasady być nie może; jeżeli 5° wolna wola podpadając wpływom o których powyżéj wspomniałem, jest również dziełem tylko naszéj wyobraźni, skoro wyssawszy z łona matki, od powijaka, że tak powiem, pewne przekonania, fałszywym ich wpływem spętani bezwiednie działamy, a raczéj ze względną świadomością tylko złego naszych czynów itp. itp. przyznasz Pan, że trudno odseperować co jest grzechem, czyli złym czynem indywidualnym, co jest indywidualność i za jaką dozę złego czynu społeczeństwo i wieki odpowiedzą, a za jaką odpowie indywiduum w godzinie swéj śmierci. Że więc to co nazywamy złym postępkiem, może w oczach Boga nim nie być, lub być zaledwie jedną miljardową cząstką grzechu indywidualnego; reszta zaś może się rozkładać na nieznane nam czynniki, od wieków na jego spełnienie się składające...

„Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni.“

Nie w takiéj więc miarce za złe czyny nasze będziemy karani jakbyśmy dziś w oczach naszych zasługiwali, lecz za taką tylko dozę, którą Bóg w mądrości i sprawiedliwości swojéj osądzi.

Bóg więc tylko jeden który stworzył Koperników, Keplerów, Newtonów, Cauchy i Arago, który stworzył rachunek różniczkowy, który ma oddzielić „kozłów od baranów“, to jest złych od dobrych, będzie umiał odseperować co do wieków, co do społeczeństwa, a co do indywiduów w każdéj chwili ich życia, czyli do odrębnych indywiduów danego indywiduum, a co do całego indywiduum od kolebki do grobu należało. — A że dusza nasza wróciwszy na łono Boga, jak to już powiedziałem, zostanie duchem czystym, Bogiem samym i będzie znała błędy, których się na ziemi nie ustrzegła, cierpieć więc i żałować za nie w swym duchu, w Bogu, będzie. —

Czynisz mi Pan w końcu zarzut, że nie odróżniam w filozofji mojéj ducha od duszy. — Otóż, jakkolwiek rzeczywiście kwestji tych nie sformułowałem w pracy mojéj, z mojego punktu widzenia, zaspokoję jednak Pana co do zdania mojego w tym względzie.

Jakoż, o ile z teorji mojéj przemiany siły czystéj, czyli twórczéj, czyli Boga w naturę, czyli w materję, drogą metamorfozy postępowéj wypada, siła fizyczna, która jest siłą czystą, twórczą w momencie jéj wcielania się w materję, która nie jest jeszcze materją ważką, która jest materją płynu niesłychanie subtelnego, eterycznego, nieważkiego, siła mówię fizyczna podniesiona w drodze swego rozwoju do kulminacyjnego stopnia, jako siła życia, stanowi duszę ludzką, któréj znowu dusza, czyli część twórcza, czyli Bóg jest duchem. — Dla tego też w ostatniém wydaniu nazywam duszę siłą czystą zmaterjalizowaną, czyli łącznikiem ducha z ciałem. — Przez duszę jednak w ogóle, rozumiem massę duchowéj indywidualności człowieka.

Takie poczyniwszy zarzuty pracy mojéj, przychodzisz Pan do jéj konkluzji, gdzie mówię:

„W konkluzji, za główną przyczynę wynalazków, postępu i w ogóle cywilizacji, uważamy *instynkt potrzeby* wypływający z rozmnożenia się rodzaju ludzkiego; do głównych zaś przyczyn upadku cywilizacji, czyli wstrzymania rozwoju umysłu ludzkiego w różnych epokach istnienia człowieka, zaliczamy: 1) mistycyzm i fanatyzm religijny; 2) monopol i rutynę naukową; 3) barbarzyństwo, dzikość i złość człowieka; czyli zagładę jak było w początkach wszelkiego postępu, zajmowaniem przez dzikie hordy w pracy i postępie zdobytego dobrobytu pokoleń sąsiednich ucywilizowańszych; 4) brak moralności jak u Rzymian; 5) w nowszych czasach, a nawet — o zgrozo! — w obecnych, exploatację człowieka przez człowieka i obracanie postępu nauk, odkryć i wynalazków, na marne cele wzajemnego wyzyskiwania się; 6) używanie słowa na kłamanie własnéj myśli, na moralne nawet w razie potrzeby zabijanie bliźniego, zawsze w celu osobistych widoków; 7) ostatecznie nieharmonję rozumu i serca na ziemi.“

„Człowiek o tyle jest słaby, o ile jest materją, o ile jest zwierzęciem; o tyle się zbliża do celów swoją godnością namaszczonych, o ile jest człowiekiem.

Upadek człowieka leży w jego słabości. Postęp jest jego potrzebą, jego koniecznością, często heroizmem, zawsze wielkością!

Mojżesz XXXIII wieków temu, kazał wykuć na dwóch tablicach kamiennych wielkie przykazanie, które streścić możemy w słowach: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.“

Dziewiętnaście blisko wieków temu, Zbawiciel nasz streścił całą Swoją naukę w miłości bliźniego.

Od blisko dziewiętnastu wieków powtarzamy te wielkie słowa Chrystusa parę razy na dzień... machinalnie tylko!... i od chwili poczęcia nas na ziemi, słowa te raz na kamieniu wyryte, inną razą do krzyża z szyderstwem przybite, z bluźnierstwem tylko ustami wymawiamy, w czyn ich nie wprowadziwszy.

Ten kocha siebie i oszukuje siebie; ów kocha tylko swoją rodzinę i ją wyzyskuje; trzeci myśli tylko o swoim kraju, zapominając że Chrystus nie za samą tylko Judeę się ofiarował, i że jest coś wyższego nad egoizm, nad rodzinę i nad ojczyznę... a tém jest... Ludzkość!“

Otóż w rozbiorze krytycznym ostatniego zdania téj konkluzji piszesz Pan „że zdanie to autora acz prawdziwe, wymówione bez zastrzeżenia, mogłoby po-

---

*) Prawodawca przeczuł instynktowo tę prawdę ustanawiając prekluzję, nawet za zbrodnie — społeczeństwo zwykło nie wyrzucać poważnemu stanowi błędów jego młodości a religja poszła nawet daléj, gdyż szczerze żałującemu za popełnione grzechy penitentowi ostatecznie przebacza, byle przyrzekł że więcéj do nich nie wróci.

stawić kosmopolityzm, jako najwyższą cnotę społeczną“ i dodajesz:

„Tak nie jest. Prawda, że Chrystus nie za samą tylko Judeę się ofiarował; wszakże był równie dobrym, kraj swój kochającym żydowinem, jak był przykładnym synem. Miłość ludzkości nie zaciera ani miłości rodziny, ani miłości przyjaciela; i owszém, wszystkie te miłości konserwuje i podnosi; ale nie chce egoistycznego ograniczenia tych uczuć szlachetnych dla nich samych (właśnie moja myśl) etc. etc.“

Pytam Pana gdzie i kiedy w ustępie będącym przedmiotem rozbioru Pańskiego zacieram miłość przyjaciela, rodziny i kraju? Pytam, czy wyrażenia „ten tylko myśli o swojéj rodzinie i ją wyzyskuje“; „ów kocha tylko swój kraj, zapominając że Chrystus nie za samą tylko Judeę się ofiarował“ są tak dalece absolutne i nie bronią mnie dostatecznie przeciwko zarzutowi jaki mi Pan robisz i czy nie uczyniły zbytecznymi wyjaśnień Jego w tym względzie?

Na tém kończę pismo moje. — Byłbym i na wiele innych uczynionych mi przez Pana zarzutów pospieszył z odpowiedzią, gdybym już nie puścił w świat obszerniejszego i o ile umiałem poprawnego wydania pracy mojéj a którego exemplarz w hołdzie Panu przesłałem, przekonany, że jakkolwiek doskonałém nie jest i być nie może, jako dzieło człowieka, że jednak przy dobréj woli, jako Mąż uczony i chrześcijanin, nie przemilczysz Pan zmian i wyjaśnień, które w niém dostrzeżesz, a co również bez korzyści dla nauki, jak i dla przyszłych prac moich nie będzie. —

W każdym razie, racz przyjąć czcigodny Panie, wyrazy głębokiego podziękowania za tak szczodre i z wielu względów zaszczytne dla mnie poświęcenie drogiego czasu Pańskiego rozbiorowi krytycznemu pracy mojéj

od Swego sługi i wielbiciela

Warszawa 22 lipca 1871 r. Dr. H. Levittoux.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Nie zapamiętano dotąd nigdy jenerała w tak ponurém i drażliwém usposobieniu, w jakiém się bez przerwy znajdywał od tych kilku miesięcy. Był ciężko zmartwiony, milczący, gniewny. Postarzał się prawie o lat dziesięć. Dla ulgi szukał zajęcia, wynajdywał sobie najrozmaitsze interesa, wyjeżdżał w rozmaite strony, trudnił się sam rachunkami gospodarskiemi, kłócił się z Zybergiem — ale niemógł znaleść upragnionego roztargnienia, a ciągła, głęboko nurtująca troska trawiła mu piersi.

Właśnie w chwili, kiedy odbywały się sceny opisane w poprzednim rozdziale, Rokicki wyjechał był na czas nieoznaczony. Przed odjazdem zapowiedział, że nie prędko wróci, ale do zapowiedzi takiéj niemożna było przypisywać wagi, gdyż jenerał, wybrawszy się w dalszą podróż, wracał zazwyczaj nagle i niespodziewanie zaraz na dzień drugi lub trzeci. Hrabina pędziła przez ten czas życie zupełnie samotne. Nie wyjeżdżała nigdzie z Zbrojnéj, nie przyjmowała żadnych wizyt, mimo że z powodu letniéj pory nie brakło znajomego sąsiedztwa, całemi dniami siedziała w swych pokojach i ledwie wieczorem ujrzeć ją można było w przepysznym parku, który otaczał pałac.

Nazajutrz po owém spotkaniu się Zyberga z Saugerem, o godzinie wieczornéj Adela znajdowała się w parku. W jednym z najcienistszych i najustronniejszych zakątków siedziała w towarzystwie pokojowéj, pogrążona w smutnych myślach, które na czoło jéj zdawały się rzucać cień posępny. Na twarzy Adeli znać było ślady kilkumiesięcznych cierpień i niepokojów. Twarz ta, do niedawna jeszcze tak świeża i pogodna, tak pełna pustoty i uśmiechów, była bladą i zmęczoną, oczy, które paliły się ogniem życia, zamglone były i pełne smutnego wyrazu. W całéj postaci hrabiny widać było znużenie, złamanie, stan jakiś dziwnie dręczący...

Od godziny już siedziała hrabina w parku, niezajęta niczém, prócz myśli, gdy z bocznéj alei nadszedł lokaj, niosąc na srebrnéj tacy kilka listów. Hrabina ocknęła się z zamyślenia i obojętnie poczęła przeglądać listy. Rzuciwszy zaledwie okiem na adres, odrzuciła już kilka z nich obojętnie na bok, gdy naraz, spojrzawszy na ostatni, poruszyła się żywiéj i wydała lekki, stłumiony okrzyk...

Spiesznie zebrała wszystkie listy a odprawiając lokaja, schowała je do kieszeni, jeden tylko zatrzymując w dłoni, która lekko drżała. Twarz blada dotychczas okryla się żywym rumieńcem, i hrabina powstając z ławeczki powróciła szybkim krokiem do pałacu.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz za sobą i szybko rozdarła pieczątkę listu...

Był to list od Oktawa...

Hrabina zawahała się chwilkę, jakby obawiała się odczytać te wiersze, które już miała przed oczyma... Zdawało się jéj, że przyjąwszy i odczytawszy list od Oktawa, stanie się stokroć winniejszą, niźli była dotąd. Rzuciła list na bok i zapaliła świecę, jakby go chciała spalić nie czytając. Wzięła do rąk kartkę i postąpiła z nią szybko ku świecy. Już rożek papiéru dosięgał płomyka, gdy nagle hrabina, jakby nie mając dość siły do pokonania siebie saméj, cofnęła go i mnąc papier w rękach w gorączkowém rozdrażnieniu przechadzać się poczęła po pokoju.

Po kilku chwilach takiéj walki hrabina stanęła i rozwijając pomięty papier czytać poczęła... List był krótki bardzo... Chwilka jedna wystarczała do przeczytania tych kilkunastu wierszy.

Adela zbladła i opuściła papiér na ziemię... Na twarzy jéj wybił się wyraz przestrachu i zdumienia... Zdawała się niedowierzać swym oczom, podniosła list z ziemi i raz go jeszcze przebiegła oczyma. Drżąc cała od wzruszenia i niepokoju, rzuciła się bezwładnie na sofę...

List Oktawa opiewał:

„Droga kuzyno! Nie wiem czy list ten mnie sa„mego uprzedzić zdoła, bo w środę wieczorem sam będę „w Zbrojnéj. Chcę się widzieć z tobą koniecznie i mu„szę się widzieć, hrabino! Tego dnia wieczorem ocze„kiwać panią będę za owym rzędem topoli, co otacza „kościół. Piszę krótko, bo mam nadzieję, że się roz„mówić ze mną znajdziesz pani sposobność. Hrabino! „muszę się przyznać do szalonego kroku, z którego „śmiać się kiedyś będziemy, ale który dzisiaj dla mnie „i dla pewnych osób wcale śmiesznym nie jest. Ku„zynko droga, nie zgadłabyś nigdy, że ręczysz za mnie

„sześciutysięczną sumę. Zniewolono mnie do położenia „Twego podpisu, hrabino. Za trzy dni od dzisiaj zapłacić muszę, gdyż byłbym zhańbionym, a mój wierzyciel, „człowiek straszliwy, gotów się udać natychmiast do jenerała. Nie mam ani grosza. Muszę się stawić przed „Tobą, hrabino, aby cię na klęczkach przeprosić za „moją lekkomyślność i błagać o pomoc. Za kilka miesięcy znajdę się w innéj sytuacji. Tymczasem, bez „Twojéj pomocy, kuzynko droga, byłby zgubionym Twój „biedny kuzyn Oktaw.“

Niepodobna nam dokładnie opisać wrażeń, jakie wywołał na Adeli ten list lakoniczny Jarskiego. Na uczucie, które przejmowało po jego odczytaniu pierś hrabiny, składały się i gniew, i duma dotkliwie obrażona, i miłość, i współczucie i przestrach w końcu głęboki, zdający się być najsilniejszym z tych wszystkich wrażeń.

Pierwszém uczuciem, które się żywo odezwało, był gniew i obrażona duma. Lakoniczne wezwanie hrabiny do schadzki oburzyło ją srodze. Czytelnikom znany jest stosunek, który istniał między Oktawem a hrabiną Adelą. W stosunku tym nie było uprawnienia dla Oktawa, aby odzywał się do hrabiny w tonie takiéj pewności. Jeżeli Adela czuła się winną w własném sumieniu, to nie miała sobie jednak nic do zarzucenia co do restrykcji w postępowaniu z Oktawem. Na dnie ich wzajemnych stosunków leżała miłość, ale ostatniego tego słowa dotąd stanowczo ani Oktaw Adeli, ani Adela saméj sobie wypowiedzieć jeszcze nie śmiała...

List Oktawa wydał się tedy hrabinie upokorzeniem i obrazą. W Adeli odezwał się na chwilę majestat szlachetnéj dumy niewieściéj. Upokorzenie to uznawała za karę dla siebie; za karę, która jednak powinna była zamknąć cały ten epizod romansowy. Gdyby Oktaw nie był wymienił w swym liście powodów wyjątkowych, dla których hrabinie tak obcesowo rendez-vous przeznaczył, Adela byłaby mu niezawodnie dała odprawę, na jaką się tylko zdobyć może dotkliwie obrażona duma kobiéty.

Ale list Oktawa podając cel schadzki, uniewinniał niejako zuchwalstwo. Do uczucia dumy przybyły uczucia trwogi i sympatji... Trwoga hrabiny była usprawiedliwioną. Hańba, która spadłaby na Oktawa, byłaby i jéj udziałem. Katastrofa wymagałaby dwóch ofiar, a katastrofą taką byłaby okoliczność, gdyby jenerał dowiedział się o owym fatalnym wexlu. Jeźli Oktaw go nie zapłaci natychmiast, okoliczność taka jest nieuniknioną...

Dreszcz zimny ścinał krew w Adeli, gdy pomyślała o takiéj katastrofie... Gdyby rzecz cała z powodu nieuiszczenia długu wykryła się przed jenerałem, Jarski nie miałby innego wyjścia przed sobą, jak tylko ucieczkę i hańbę, lub straszliwy krok samobójczy... Adela zanadto dobrze znała jenerała, aby nie być przekonaną, że jenerał nie miałby litości. Odkrycie takie uderzyłoby w najsłabsze strony charakteru Rokickiego, w jego gwałtowność, jego bezwzględną, nieubłaganą surowość w obec takich lekkomyślnych wybryków młodości, a w końcu w jego zazdrość...

Namiętne usposobienie jenerała znalazłoby w takiém odkryciu powód do straszliwego wybuchu. Wieczne podejrzenia i objawy zazdrości zmieniłyby się tym razem w burzę, którąby na zawsze może zniszczyła spokój domowy i uczyniła nieszczęśliwymi nietylko Adelę, ale samego jenerała. Adela czuła, jak jéj serce ściska się od przerażenia na samą myśl podobnéj katastrofy...

A gdyby nawet jenerał uwierzył w niewinność Adeli, gdyby był przekonany, że wszystko wypłynęło z niczém nieusprawiedliwionéj, zuchwałéj lekkomyślności Oktawa — czyż właśnie los samegoż Oktawa nie byłby dostateczną przyczyną śmiertelnego niepokoju i trwogi dla hrabiny?...

Adela po chwili pozornego osłupienia porwała się szybko z krzesła i zawołała do siebie stłumionym i przerażonym głosem:

— Muszę go ratować koniecznie!...

— Ratować Oktawa, znaczy ratować siebie i męża... — dodała w myśli, jakby ten zamiar potrzebował jeszcze usprawiedliwienia.

Adela nie wahała się tedy nawet na chwilę nieść pomoc Jarskiemu. Ale między zamiarem a czynem stanęła nieprzezwyciężona na pozór przeszkoda. Chodziło o sposób ratunku, o środki pomocy. Hrabina szybkim krokiem przeszła przez pokój i zatrzymując się znowu na miejscu, szeptała strwożonym głosem:

— Ale jakże mu pomogę! Cóż pocznę?...

Pierwszym warunkiem ratunku był pośpiech największy. Dziś, za godzinę, Oktaw miał na nią czekać, dziś jeszcze miała mu podać środki ratunku...

Adela rzuciła obłąkanym prawie wzrokiem na zegar. Wyraźniéj jeszcze niż jego wskazówki uwiadamiał ją złocisty potok zachodzących promieni słonecznych, że pozostaje jéj zaledwie godzina czasu...

Za godzinę Oktaw będzie ją oczekiwał, może ją już nawet oczekuje... cóż mu powie?...

Najlepszym środkiem było posłać mu natychmiast żądaną sumę, choćby przez lokaja. Byłby to najlepszy sposób odprawy i szlachetnéj zemsty za obrazę i płochość Oktawa. Adela byłaby to uczyniła — gdyby Jarski nie był w niéj wzbudzał czegoś więcéj niźli samo zwykłe współczucie...

Pójść na oznaczone miejsce i doręczyć Jarskiemu pieniądze — zdawało się Adeli krokiem koniecznym. Ale zkądże wziąć tak prędko, nawet natychmiast, tak znaczną sumę?... Hrabina nie miała pieniędzy. Jakby się sama chciała łudzić choć przez chwilkę nadzieją, poskoczyła szybko do biórka, i drżącemi rękoma poczęła przeszukiwać jego szuflady, ale cały zapas jéj pieniężny był zaledwie maleńką cząstką potrzebnéj sumy.

Wpadły jéj na myśl klejnoty, które pokryć mogły dziesięćkroć większą sumę, ale w téj saméj chwili przypomniała sobie, że od przyjazdu na wieś nie zostały jeszcze wypakowane i znajdują się pod kluczem jenerała...

— Boże mój! — zawołała z dziwnym wyrazem grozy hrabina — chodzi o tak małą sumę, i nie mogę nią usunąć niebezpieczeństwa, które nam tak straszliwie grozi!...

Pani miljonowa, dziedziczka olbrzymich obszarów ziemi, mająca z własnéj tylko fortuny krocie rocznego dochodu do dyspozycji, nie miała w téj chwili potrzebnéj tak drobnéj stosunkowo kwoty...

Przez umysł hrabiny przebiegły najrozmaitsze plany...

Gdyby był jenerał w domu, byłaby udała się do niego, padła mu do nóg i wśród łez wstydu i boleści wyznała mu wszystko, prosząc o przebaczenie... Ale Rokicki wyjechał przed kilku dniami i za kilka dni dopiéro go się spodziewano.

Chwilkę myślała Adela, — nagle zadzwoniła kilkakrotnie i gwałtownie. Na niezwykłe dzwonienie wpadło do pokoju dwóch lokajów i pokojowa.

— Siadaj natychmiast na konia! — zawołała hrabina do jednego z nich — i jedź po pana kapitana Zyberga! Proś go, aby natychmiast, ile konie wyskoczą, tu przyjechał! Powiedz, że go o to bardzo proszę!

— Pana kapitana nie ma — odparł lokaj — pojechał do Lwowa i jeszcze nie wrócił. Dopiéro jutro rano przyjedzie.

Hrabina dobyła sił ostatnich, aby pokryć swe pomięszanie i niemym ruchem dłoni odprawiła służbę. Ostatnia nadzieja ją zawiodła...

Przed Zybergiem byłaby się zwierzyła z wszystkiego, bo miała ufność do niego, a on ją kochał jak swoją córkę. Teraz i ten środek okazał się niemożliwym...

Trwoga i niepokój hrabiny wzrastały z każdą chwilą. Adela drżała kurczowo, a na piękne jéj, jak marmur blade czoło, wystąpił pot zimny...

W pokoju zaczęło się robić ciemno... Zmrok zapadł już na dworze, a ostatnie błyski zachodzącego słońca, łamiąc się z cieniami zmroku, złociły liście drzew w parku. Zegar uderzył godzinę ósmą...

Dźwięk zegaru obudził Adelę i wzniecił w niéj nową energję...

— Pójdę do jego pokoju... Może znajdę... — szepnęła pobladłemi ustami i chwyciła do rąk zapaloną świecę.

Dziwnie zmieniona, z wyrazem nieopisanego lęku na pięknéj, bladéj twarzy, od któréj posępnym jakimś kontrastem odbijały czarne sploty włosów, krokiem szybkim, ale na palcach i cicho, przesunęła się hrabina przez amfiladę pokojów, które oddzielały jéj budoar od gabinetu męża...

Lada szelest gałęzi w parku, który wietrzyk niósł do pokoju, każdy głośniejszy szum sukni, włóczącéj się po dywanach, przejmował lękiem hrabinę... Zdawało się jéj, że ją ktoś podsłuchuje... Stawała wtedy i zapierając oddech w piersiach, patrzyła dokoła wystraszonym wzrokiem...

Nareszcie znalazła się w gabinecie męża. Był to pokój mały, którego ściany otoczone były dokoła szafami książek i okryte mappami i planami strategicznemi. W jednym wolnym od książek kącie stała żelazna kasa...

Hrabina wszedłszy na próg gabinetu zatrzymała się i wydała okrzyk stłumiony. Tuż naprzeciw niéj, nad biórkiem wisiał duży portret Rokickiego... W rozdrażnieniu gorączkowém, w jakiém się znajdowała w téj chwili Adela, rysy męża musiały sprawić na niéj gwałtowne wrażenie. Z ram posępnych dębowych jenerał zdawał się na nią patrzeć wzrokiem przenikliwym i srogim...

Wkrótce pokonała jednak Adela to uczucie przestrachu... Oglądnęła się do koła i wśród gwałtownego bicia serca zbliżyła się do kasy...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W KOŚCIELE.

W cichym, prawie bezludnym kościele
Ksiądz mszę czyta za tych, co śpią w grobie —
Ja, com lat się nie modlił tak wiele,
Do pacierza składam ręce obie.
Za umarłą łzy mi płyną skrycie,
Któréj anim widział, ani znałem —
Ach! bo ta nieznana dała życie
Téj, co dla mnie była życiem całém,
Więc jak matkę ukochałem własną,
I w snach nieraz męczących w noc ciemną
Widywałem ją łagodną, jasną,
Jako brzozę schyloną nademną.
A ja, ręce jéj całując białe,
Skarżyłem się na tę, co jak skała,
Zdruzgotawszy serce moje całe,
W zamian nawet litości nie dała.
I pytałem się umarłéj cienia:
Czemu rodząc światu taką cudną,
Stworzyła ją, jak posąg z kamienia,
W którym serca się dopatrzeć trudno?
Wtedy ona palec mi na usta
Kładąc — z cicha do ucha szeleszcze:
„Bluźnisz dziecku memu — pierś nie pusta,
Jest w niéj serce; lecz serce — śpi jeszcze —
O! szczęśliwy, dla którego z ludzi
To serduszko ze snu się obudzi,
Komu usta jéj, dziś drwiące w śmiéchu,
Kiedyś „kocham“ wyszepną po cichu.
Jeźli wtedy z bólu serce moje
Pękać będzie jak ziemia w upały,
To przyjdź do mnie zmarłéj duchu biały,
Połóż na mych oczach dłonie swoje,
I zamknij je na sen, na ten wieczny,
W którym człowiek od bolów bezpieczny! —

Michał Bałucki.

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

II.

Teorje stronnictwa katolickiego i pamfleta Jezuitów.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli zatém władza zwierzchnia (suprema potestas) nie należy ani do Boga, ani do jakiéj pojedynczéj osobistości, to musi zatém należeć do wszystkich obywateli państwa. Takie jest zdanie Suareza, na poparcie którego przytacza on specjalne miejsca wszystkich tych powag na które zwykł się powoływać[1]), dowodząc tym sposobem, iż teorja o pierwotnéj zwierzchności ludu nie jest wymysłem Utopji i Rewolucjonistów, lecz jest tak

[1]) Miejsca te cytowane u Suareza w Lib. III. c. 2, są: St. Tomasz, q. 90, art. III ad 2, q. 97, art. III ad 3. — Soto, Lib. I de just. et jure q. 1, art III i Lib. IV 1, c. q. 2, art. I i II. — Castro, Lib. I de leg. c. 1 §. postquam. — Ledesma, P. II, q. 18, art. III, dub. 10. — Couarre, in practicis, cap. I, concl. 1. — Nawarr, in cap. de Judiciis not. III, num. 119. — Isidorus, Origines, L. V. c. 10. Lex est constitutio populi, qua majores natu simul cum plebibus aliquid sanxuerunt (ex Just. Justin).

starą jak filozoficzne traktowanie nauki o państwie. Postawiwszy twierdzenie iż władza nad zorganizowaném w państwo społeczeństwem do całego społeczeństwa należy, zapytuje się Suarez, zkąd ta władza pochodzi?

Z powyższéj zasady powinnaby pochodzić z wolnéj woli złączonego wspólną ugodą ludu, Suarez jednak mówi, iż władza ta istniała jeszcze przed połączeniem się ludzi w stan polityczny, ponieważ zaś nie leżała ona ani w posiadaniu tłumu niespojonego jeszcze węzłami państwa, ani też w posiadaniu jakiéj osobistości, musi zatém pochodzić z wyższego źródła, którém jest Bóg. „Non est potestas nisi a Deo“, mówi pismo św., obok zaś tego, zauważa Suarez, władza zawiera w sobie prawa przechodzące granice kompetencji ludzkiéj n. p. prawo kary w ogóle, kary zaś śmierci w szczególności, początek więc władzy musi być boski. Bóg władzy téj osobno nie stworzył, lecz nadał ją jako konieczny przymiot każdemu powstającemu ciału politycznemu. Ciało to tworzy się a równo z nim z naturalnéj konieczności ustanawia się zwierzchnia władza.

Oto jest śmiało postawiona zasada władzy zwierzchniéj z prawa natury i prawa bożego nie należącéj do żadnego pojedynczego człowieka, lecz do wszystkich uczestników państwa. Z zasady téj jednakże można wyprowadzić dwie zupełnie różne teorje monarchiczne, jedną sprzyjającą despotyzmowi, drugą nieograniczonéj wolności ludu stosownie do tego jak uważać będziemy, iż przelanie władzy z ludu na monarchę jest zupełne, bezwarunkowe, lub też iż przelanie to jest tylko prowizoryczne, dające się zawsze odwołać. W pierwszym razie lud staje się niewolnikiem, a prawa będą wyrazem woli panującego (quod principi placuit, legis habet vigorem), w drugim zaś lud jest zawsze honorowym władcą, rzeczywisty zaś władca igraszką jego fantazji, w obu zaś wypadkach kosztem organicznego porządku panować będzie chaos samowoli. Zasada zatém Suareza nietylko nie jest usprawiedliwioną, lecz nie wytrzymuje żadnéj krytyki ze stanowiska dzisiejszéj nauki, o ile zaś przeprowadzenie jéj przez samego Suareza jest pełne sprzeczności i chytrych tendencji, przekonamy się z dalszego ciągu.

Z dwóch powyżéj wspomnianych teorji dających się wyprowadzić z zasady Suareza, idzie on drogą pierwszéj. Lud, mówi on, jest pierwotnie zwierzchnikiem, po przelaniu jednak władzy na monarchę stosunki zmieniają się zupełnie. Lud z prawa natury jest wolnym, lecz dając władzę jednemu, wolności się pozbawia, władzę bowiem daje on bezwarunkowo (simpliciter) w celu aby panujący używał jéj jak uzna za stosowne (eo modo quo illi magis videbitur expedire) jest to perfecta largitio totius potestatis, tak iż panujący ma prawo wymagania od ludu najzupełniejszego posłuszeństwa, z tego też powodu panujący nie może być pozbawiony władzy, którą teraz posiada tytułem własności (dominium) tak długo, aż stanie się tyranem, przeciw tyranowi bowiem ma państwo prawo zbrojnego oporu[1]).

Widoczną jest rzeczą, iż wszystko, co tylko dotąd Suarez powiedział, jest zupełną illuzją, która jednakże bez celu być nie mogła! Wystawiwszy zasadę zwierzchności ludu — która, mówiąc nawiasem, praktycznie tylko w wyjątkowych stosunkach istnieć może — zabija ją następnie Suarez przelaniem nieograniczonym władzy na monarchę, ale to tylko na to, aby ją jednym nic nieznaczącym i elastycznym wyrazem „tyranizm“ co chwila zagrażać lub wedle potrzeby zniszczyć.

Czy Suarez, owa gwiazda pierwszego rzędu pośród uczniów Loyoli, teorje podobne tworzył w prostocie naiwnego ducha, lub też czy książka jego miała na celu w formie ścisłéj i gruntownéj nauki, powtórzyć oględnie, niby nawiasowo to, co pamfleta jego współbraci nieoględnie i natarczywie perorowały?

Pytanie to zostawiamy tu bez odpowiedzi, a konstatujemy tylko wymowną okoliczność, iż książka Suareza razem z książką Becana, była w roku 1612 z rozkazu parlamentu paryzkiego publicznie spaloną.

Z powyżéj rozbieraną teorją o władzy, łączą się dwie inne kwestje, które roztrząsane przez Suareza, silnie interesować nas będą:

1) Czy prawo aby się stać obowiązującém powinno być przez lud przyjęte?
2) Czy prawodawca jest poddany swym własnym prawom?

Co do 1go punktu, to, mówi Suarez, opinje są podzielone, jedni utrzymują, iż prawo we właściwéj formie ogłoszone jest samo przez się obowiązującém i nie potrzebuje sankcji ludowéj, drudzy zaś, respective prawnicy, mówią, iż siła obowiązująca prawo leży w sankcji ludu, ponieważ 1° panujący biorąc władzę od ludu, bez zgody jego praw tworzyć nie może, 2° niepodobieństwem jest przypuścić, aby panujący mógł zobowiązywać lud wbrew jego woli. Suarez na tę opinję się nie zgadza. Według niego, a jest to też zdanie kanonistów, prawo w dostatecznéj formie ogłoszone, zawiera w sobie przypuszczalne przyjęcie i zgodę ludu, jest zatém ipso facto obowiązującém. Wprawdzie, mówi on, są państwa gdzie udział ludu w czynności prawodawczéj ma miejsce, tam jednak już nie panujący jest prawodawcą, lecz lud z panującym. Okoliczność ta jednak zdaje się nie mieć dla Suareza żadnego znaczenia; gdyż, mówi on, panujący t. j. posiadacz władzy zwierzchniéj ma zawsze nienaruszalne prawo wymagania posłuszeństwa, azatém zobowiązywania prawem które sam po za udziałem ludu tworzy, inaczéj władza jego byłaby czczą, bez najmniejszego znaczenia.

Część prawdy i fałsz teorji Suareza z punktu widzenia dzisiejszéj nauki jest widoczny.

Ustawy składające pozytywne w kraju obowiązujące prawo, tworzy reprezentacja ludu za inicjatywą i sankcją panującego, takie tylko na jedynéj konstytucyjnéj drodze powstałe prawo jest obowiązujące, panujący sam ustaw tworzyć nie może, lecz wydaje rozporządzenia w celu ułatwienia wykonywania ustaw nowych pośród już istniejącego porządku prawnego. Rozporządzenia takie granic zakreślonych ustawą przekraczać nie mogą, inaczéj bowiem wola państwa wypowiedziana w ustawie i czyn jego zostając w niezgodzie, rujnowałyby cały ład konstytucyjny. Brak świadomości różnicy między ustawą i rozporządzeniem, między prawem i moralnością, między prawem cywilném a publiczném — jest błędem który się przebija nietylko u Suareza, lecz u wszystkich ówczesnych teoretyków i publicystów.

Odłożywszy naukowe błędy na stronę, sofistyka Suareza pokrywa inny jeszcze błąd tendencyjny. Wystawia on bowiem już po raz drugi tryumfalne wrota dla władzy absolutnéj dla tego tylko, aby je postawieniem trzech następujących wyjątków z gruntu obalić:

1) Mówi on, ogłoszone prawo obowiązującém nie jest, jeżeli jest niesprawiedliwe, prawo bowiem takie prawem nie jest, zatém obowiązywać nie może.
2) Prawo również obowiązującéj siły posiadać nie może jeżeli jest za ciężkie — tu bowiem należy wnosić iż panujący ogłosił je dla próby.
3) Jeżeli większość przestała prawo ogłoszone przestrzegać.

Bezczelność tych trzech wyjątków przechodzi wszelkie granice. Lud podług samego Suareza nie ma ża-

[1]) De leg. Lib. III, cap. 4.

dnego udziału we władzy prawodawczéj, jakiż tedy organ może wydawać sąd kompetentny o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości i uciążliwości prawa, które w interesie spokoju i bezpieczeństwa, porządku i zasady za sprawiedliwe uważane być musi, jak skoro raz zostało ogłoszone?

Któż upoważnia lub wzywa lud do nieposłuszeństwa prawu, kto mu to prawo interpretuje?

Trudno robić sobie w tym względzie wątpliwości!

Organem tym wyrokującym nielegalnie i samowolnie o sprawiedliwości prawa jest, jak Suareza teorja wymownie przemilcza, arbitralny głos rozprzężonéj masy. Stroną uważającą prawo za ciężkie, jest zawsze i koniecznie strona niesprawiedliwa lub występna Osobą zaś interpretującą ustawy i wykazującą ich niesprawiedliwość, a zatém potrzebę oporu jest zakon Loyoli. — Myśl tę wypowiadamy z zupełną świadomością azatém otwarcie, cel bowiem teorji Suareza et consortes z po za grubéj maski jest dla nas oczywisty. Zrobiwszy zupełne fiasco z wygłaszaniem wprost idei zwierzchności ludu i praw monarchomachji, próbowano osłabić, zdezorganizować państwo za pomocą systemu sprzyjającego pozornie najbardziéj nawet wygórowanym zachciankom despotyzmu, w gruncie zaś rzeczy i z zasady wyjątków przygotowującego chaos rewolucyjny i anarchję na każde zawołanie.

Rozdwojenie i spaczenie wzajemnych stosunków głowy i członków w organizmie państwa, kosztem publicznego dobra, oto arcy-chwalebny środek ku chwalebniejszemu jeszcze celowi, którego osiągnięcie dziś jeszcze niestety, wiele opętanych umysłów zaprząta!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa 23 września 1871.

Jesień, „złota jesień“, jak ją nazywa poeta, na dobre zagospodarowała się u nas. Zimno i słotno — w ogrodach posępno a mianowicie w takich, w których przez lato teatrzyki zasiadłszy, ściągały tłumy publiki do siebie. Dzisiaj pustki — wszystkie trupy aktorskie jak ptastwo wędrowne odleciały od nas, by karmić prowincję duchową strawą. — Pozostał więc nam tylko zwykły nasz teatr, który hula kankana w zapóźnioném nieco Życiu paryzkiém, operetce buffo Offenbacha — a teatr Rozmaitości daje nową komedję a raczéj trzyaktową farsę p. t. Znakomici. Autorem jéj jest pan Szober, aktor młody i blady jakim był Kaska w obec Cezara — twórca paru mniejszych i dość udatnych komedyjek, jak n. p. Lekcja śpiewu i t. p. Znakomici, wynik spostrzegawczego daru w autorze, mogliby wyrość na satyrę społeczną, chłoszczącą rózgą nasze towarzystwo adorujące się nawzajem, gdyby pan Szober oprócz doskonałéj znajomości sceny, miał jeszcze iskrę Fredrowskiego talentu... Uderzyła go ta wybitna cecha nasza, chwalenia się i uwielbiania, pochwycił ją a nie umiał tak postawić i tak pokazać, żeby od śmiechu nerwy popękały patrzącym, żeby „trzewia im zatargał“ jak chce Juljusz... Que faire? Każden robi co może. Nawet poczciwa i nader cnotliwa staruszka Gazeta Warszawska nie robi więcéj nad to, co może — a że może nie wiele, więc téż i robi mało. Przytoczę wam tu maleńki przykład, a warto byście go uważnie przeczytali, bo zakrawa on na rzucenie w twarz rękawicą całemu postępowi, wszystkiemu co młode... Podnoszę ją i wam oddaję... W tych dniach ukazała się w handlu księgarskim książka profesora z Jeny Haeckla p. t. Dzieje utworzenia przyrody w polskim przekładzie. Jest to praca nie mająca pretensji do reformowania nauki, ale zbierająca skrzętnie każde jéj ostatnie słowo i podająca takowe w formie przystępnéj i łatwéj... Naturalnie ukazały się tu wszystkie teorje pozytywne i materjalistyczne a nawet Darwinowska, tak oburzająca nasze znakomitości, które pomimo widocznych znamion niechcą pochodzić od małp... Gazeta Warszawska, zgrzybiała staruszka, spokojnie trawiąca resztki lepszéj przeszłości, na widok téj książki dostała coś nakształt cholery... Porwała się i nuż ciskać Jowiszowe gromy na Haeckla i materjalistów, nuż deptać tłomaczów i całe młode pokolenie co czyta takie bezecne i sprośne dzieła... uspokoiwszy się nieco, poczyna radzić młodemu światu co ma robić i jak się uczyć — nie czytać dzieł Fajerbachów, Bucklów, Darwinów, Draperów itd., bo to chołota mięszająca się w nie-swoje rzeczy „jak ów profesor z Krakowa co zamiast siedzieć w klinice, latał za adresem do Döllingera“ — słowa zawarte w cudzysłowie przepisaliśmy z saméj gazety. Jak wam się to podoba?... poczciwa starowina! poczyna jéj się mięszać już w głowie, zwyczajnie starość nie radość! dziecinnieje się, mając na swych plecach coś około stu lat. Jednakże, gdyby nieboszczyk Leszniowski przeczytał ten artykuł w gazecie, przewróciłby się w trumnie...

Z jesienią ruch literacki się wzmaga. Wyszła z druku nakładem M. Dzikowskiego książka p. t. Najnowsze wychowanie, zbiór prelekcji pozytywistów i przyrodników angielskich Tyndalla, Faradeya i innych... Uczeni ci gorącemi słowy zachęcają młodzież do oddawania się naukom przyrodzonym. Przekład trochę szwankuje, ale rzecz ciekawa i na czasie... tylko nieco drogo kosztuje, bo 1 rs. Drugą równie ciekawą książką jest studjum literackie o Hieronimie Wespazjanie z Kochowa Kochowskim p. Adama Rzążewskiego. Rzążewski, młody człowiek, wychowaniec b. Szkoły Głównéj, znany jest już ze swoich studjów nad Zmorskim i Gunduliczem serbskim poetą i autorem epopei o wojnie Chocimskiéj. Nowa ta praca Rzążewskiego jest początkiem studjów nad naszemi pisarzami z XVII i XVIII wieku, do Stanisława Augusta. Rzecz o Kochowskim jest mozolnie i z erudycją napisana — ale nie ma w sobie tego tchnienia talentu jak n. p. w rozprawie Kubali o Orzechowskim. Rzążewski będzie pożytecznym i pracowitym pisarzem, ale nie rozjaśni nic, bo w duszy nie ma iskry świętéj, która wszystko opromienia...

Z zimą mnóstwo nowych pism ma nas zasypać, jak Figaro polityczne, Niwa dwutygodnik i Kolce humorystyczne. Jak tam będzie nie wiemy — przyszłość pokaże. A teraz serdecznie was żegnam.

X.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wołody Skiba. Kręte drogi. Powieść. Lwów, 1871.

„Kręte drogi“ pierwszym są krokiem na nowéj drodze, którą, jak życzyć sobie trzeba, pan Sabowski w zawodzie powieściopisarskim i nadal postępowaćby winien. Dotychczasowe p. Sabowskiego powieści były to sobie humoreski, pisane li tylko dla żartu, dla wzbudze-

nia chwilowéj wesołości, pełne śmiesznych, niezręcznych niekiedy karykatur, dziwadeł w guście Dickensa, w których humor jowialny autora zacierać się zdawał starannie wszelką prawdę, wszelkie podobieństwo do zwyczajnych ludzkich postaci. Powiastki tego rodzaju, głębszych pozbawione myśli i wszelkiéj trwalszéj wartości, mogą niekiedy wypłynąć z pod piór najpoważniejszych nawet pisarzy, jako owoc chwilowéj pustoty, lecz poświęcić takim żarcikom prawdziwe i niemałe zdolności, które z pożytkiem dla ogółu w szlachetniejszéj zużyć można pracy, byłoby grzechem zupełnym, marnotrawstwem bogactw duchowych. „Kręte drogi“ przekonują nas jednakże, iż pan Sabowski przy dobréj woli i pracy mógłby z funduszów umysłu wiele lepszy zrobić użytek, iż mógłby się z rysownika karykatur na zdolnego rodzajowego wykształcić malarza. Kręte drogi są tém, czém są i być powinny wszelkie zadaniu swemu odpowiednie powieści, są to studja ludzi i stosunków ludzkich, są to, że tak powiem, kartki z téj księgi olbrzymiéj, która ludzkością się zowie, a która obszerną, szczytną i najważniejszą zapewne zawiera naukę, naukę tajników ducha naszego i serca. Powiedzmy jednakże na wstępie, iż tą razą dobre tylko chęci autora pochwalić możemy, ale pierwszy ich objaw sam przez się bardzo jest jeszcze nieudolnym. Dziwić się temu i zbytnio ganić autora nie można. Pan Sabowski dotychczas nie studjował ludzi, tworzył sobie postacie przy biórku z własnéj jedynie wyobraźni i z tych stałych, długoletnich nawyknień nie tak łatwo otrząść się zdołał. Niekiełznana, znarowiona fantazja mimowoli do dawnego powraca nałogu, wodzi go gdzieś po manowcach, co chwila z ubitego zbaczając gościńca. Pan Sabowski nie przyzwyczaił jeszcze oka do promieni prawdy, widzi jeszcze wszystko w dziwnych, tęczowych kolorach, — można mu to wybaczyć zupełnie i bezstronnie wskazać błędy i wady. Już sama treść Krętych dróg o prawdzie uwag naszych dostatecznie przekona czytelnika. — Dwaj poeci, pan Tadeusz Łuba i Alfred Czynnicki są przyjaciołmi, siamskimi braćmi, jak ich powszechnie nazwano, dzielą się myślą, sercem, pieniędzmi, mieszkaniem na jednéj z pomniejszych uliczek Krakowa. Pan Alfred, pod pozorami przyjaźni, imponującéj wyższości umysłu i duszy silnéj, hartownéj kryjąc zimny wyrachowany egoizm i chciwość władzy bezwzględną, wyzyskuje świętą przyjaciela dobroduszność, który upokorzony przed nim w prochu własnéj nicości, z radością i dumą przerabia mierne jego wierszydła na arcydzieła poezji, wypróżnionéj kieszeni Alfreda nieograniczonym służy kredytem, wypełnia wszelkie rozkazy, — słowem pod maską przyjaciela jest prostym niewolnikiem i sługą. Panu Alfredowi dobrze z takim przyjacielem. Tadeusz jednakże kocha się w Mani Świstackiéj, która dziwnym losów fatalizmem już od babki niezbyt jasnym cieszyć się może rodowodem, co naturalnie osobistym jéj wdziękom żadnego nie czyni uszczerbku. Czynnickiego niepokoi ten niewinny Tadeusza romansik, gdyż w razie ślubnego epilogu, musiałby się poczęści wyrzec tak bliskich i wygodnych z drogim przyjacielem stosunków. Pan Alfred przekonuje po prostu Tadeusza, iż będąc brzydszym i mniéj uzdolnionym od niego, powinien mu odstąpić kochanki, gdyż w razie współzawodnictwa nieotrzymałby palmy zwycięztwa. Potulny Łuba nie śmie odmawiać życzeniu Alfreda i ze łzą w oku, z sercem rozdartém, ale zawsze pełném kornego dlań uwielbienia, odstępuje Manię Czynnickiemu (!). Rok sześćdziesiąty drugi pozwala Alfredowi choć w części ambitne spełnić zamysły. Powróciwszy do Krakowa po krótkiéj na pole działań wycieczce, Czynnicki przywdziewa strój narodowy, ogłasza się wysłańcem rządu tajemnego i za pomocą klientów, mianowicie doktora Szabli, nikczemnego tchórza, którego zdołał podbić obawą pojedynku, za pomocą Justyniana Placyka, prostego szynkowego bibuły, werbuje zewsząd stronników, tworzy i wysyła oddziały; poczciwy Łuba pisze dlań hymny wojenne. Nową tą aureolą wielkości zdobywa Alfred niewinne serce Maryni, z którą jednakże chwilowo żenić się nie myśli, gdyż „teraz ojczyzna przed wszystkiém!...“ Tadeusz w najgłębszéj pokorze uwielbia to bohaterstwo, to szczytne poświęcenie Alfreda... Tymczasem Czynnickiemu nowe uśmiecha się szczęście. Panna Katarzyna Cytrowicz, jedna z pierwszych partji Krakowa, pragnie go ułowić w swe sieci, pragnie tak wielkiego człowieka uchronić przed możliwym z Manią Świstacką mezaliansem. Alfred nie sprzeciwia się dosyć wyraźnym panny Katarzyny życzeniom, wysyła Manię, posłuszną jego rozkazom, do Skalmierza z misją niebezpieczną, a towarzysząc jéj w powrocie, kończy romans hańbą dziewczyny... Od téj chwili pan Alfred zajęty organizacją wyprawy, w któréj sam jednakże czynnego nie może wziąść udziału, zajęty podbojem serca bogatéj panny Katarzyny, nie bywa w domu Świstackich. Na trwożliwe zapytanie Tadeusza odpowiada głosem wzruszonym, iż poznawszy miłość, jaką dawno pałał ku Mani, nie myśli zamącać mu szczęścia, iż poświęca się chętnie dla niego i z poczuciem szlachetnego uczynku odstępuje Łubie kochanki (!)... Tadeusz ofiarą własnéj miłości chciałby ukoić boleść i rozpacz, jaką ta straszna wiadomość wznieciła w sercu Maryni, ale szlachetna dziewczyna wyznaje mu prawdę okropną. Zagadnięty Alfred z bezczelnym odpowiada spokojem, iż taką samą odpowiedź przed miesiącem otrzymał od Mani... Tadeusz pouczony doświadczeniem, podejrzywać zaczyna Alfreda. Tymczasem pan doktor Szabla, zagrożony wcieleniem do oddziału, postanawia się, za radą Alfreda, ożenić z bogatą panną Katarzyną i drogiemu przyjacielowi za łaskawe w téj sprawie usługi wypłacić część znaczną posagu (!). Pan Alfred denuncjuje sam siebie, a osadzony w więzieniu oznajmia rozkochanéj pannie Katarzynie, iż szybką ratując się ucieczką, chciałby jéj ważną zlecić tajemnicę. Panna Katarzyna stosownie do danych rozkazów nocną porą w domu pana Szabli oczekuje z utęsknieniem Alfreda (!). Niestety, zmyślona ucieczka zostaje przedwcześnie odkrytą, a wywołana denuncjacją Alfreda rewizja w pomieszkaniu Szabli, zniesławia w oczach świata pannę Katarzynę (!)... W téj saméj nocy inny odgrywa się dramat. Mania chcąc uwolnić uwięzionego z Alfredem Tadeusza, kosztem własnéj hańby ułatwia kochankowi ucieczkę (!). Szlachetna ta ofiara okazuje się jednak zbyteczną; Łubę dla braku dowodów wypuszczono téj nocy z więzienia... Ślub Szabli, śmierć Mani są epilogiem powieści. Alfred cieszy się znaczeniem u ludzi jako męczennik sprawy ojczystéj i dzięki zawartéj ze Szablą umowie, znaczne uzbierał kapitały; Łuba, odarty z illuzji, jest pierwszym humorystą Galicji. —

Autor chciał nam przedstawić jeden z faktów zwyczajnych, codziennych, przewagę silnéj woli nad umysłami słabszego ustroju, ale faktu tego nie wystudjował, nie pojął. Węzły, któremi człowiek energji krępuje i przykuwa słabszych, to tysiące cienkich, niedostrzeżonych niteczek, to nie liny, nie kajdany niewoli, jakiemi Alfred obarcza swoich poddanych. Natura ludzka nie znosi żadnéj niewoli, nie ścierpi żadnéj nad sobą przewagi, któréj węzły widoczne są i ciężkie; chcąc ją podbić, powiązać, trzeba zwolna i niepostrzeżenie owe liliputańskie nakładać nań pęta, jak pajęczyna lekkie, niewidzialne, a silniejsze od kajdan żelaznych, trzeba skrępowanego w ciągłém utrzymać złudzeniu, nie dać mu poznać ciężaru niewoli. W chwili, w któréj raz pierwszy uczuje się poddanym i sługą, zrywa ciężące mu węzły. Autor grzeszy przeciwko téj prawdzie i powieść swoją buduje na fałszywych zupełnie zasadach. Pan Alfred otwarcie ogłasza się władzcą, tyranem, stronnikom swoim bez żadnych powiada omówień: nadużywałem dobréj woli waszéj, każdego z was starałem

się nagiąć i podbić, — wykazuje, wyszydza ich słabość, depce najświętsze, najpotężniejsze uczucie honoru, z despotyczném prawdziwie okrucieństwem, wstrętne każe im spełniać rozkazy, i — podług zasady autora — jako człowiek energiczny i zręczny, nieznajduje żadnego oporu. Chcąc tak nienaturalne uzasadnić zjawisko, musiał autor również nieprawdziwe skreślić charaktery. Tadeusz Łuba, którego autor zacnym, uzdolnionym, ale słabym mianuje młodzieńcem, jest po prostu niedołęgą i głupcem, Michał Szabla, który na wspomnienie pojedynku poci się i mdleje, nie starając się nawet pozorami zasłonić swojego tchórzostwa, jest postacią tak nikczemną i pogardy godną, iż w naszém przynajmniéj społeczeństwie nie istnieje i istnieć nie może. Charakter Alfreda zbyt czarnemi skreślony barwami; postępek jego z Marynią jest zbrodnią spełnioną bez celu, co w życiu się zdarza, lecz w powieści zachodzić nie powinno, a układ zawarty z Szablą jest podłością, która może w Tajemnicach Paryża naturalną zdawaćby się mogła, ale nie na bruku krakowskim. Panna Katarzyna Cytrowicz to postać nie z naszego świata, a przynajmniéj nie mieszczanka krakowska, to raczéj kopja niesmaczna modnych margrabin Balzac'a. Ofiara Maryni jest nieszczęsnym i dawno zużytym pomysłem; nie podnosi ona ale poniża w oczach naszych bohaterkę, zwłaszcza jeżeli jéj naglące nie uniewinniają stosunki. Mania spełnia ją bez żadnego prawie namysłu, nie przekonawszy się nawet o wielkości niebezpieczeństwa, w jakiém znajduje się Tadeusz, nie probując innych poprzednio sposobów; jest to lekkomyślność, któréj niczém nie można uniewinnić. — Zarzucamy więc głównie autorowi brak zmysłu spostrzegawczego. Pan Sabowski widocznie kopjuje już z życia, ale jak niewprawny rysownik, nie zdolen jeszcze pochwycić prawdziwych jego kształtów, prawdziwego światła, odtwarza stosunki i postacie, które w najogólniejszych zaledwie zarysach do rzeczywistych zbliżają się podobieństwem. Taki pan Alfred, Łuba, dr. Szabla, charaktery zwyczajne, codzienne, tracą pod piórem pana Sabowskiego piętno prawdy, zmieniają się raczéj w postacie niezręczne i nienaturalne, w malowane maski, pod któremi oko twarz ludzką gdzieniegdzie dostrzega. Faktom takim, jak ustąpienie kochanki, chociaż niezwykłym i dziwnym, możliwości zaprzeczyć nie wolno; fakt taki wydarzyć się może, lecz nie w ten sposób zapewne, jak nam to autor przedstawia. — Kręte drogi, w których zresztą pochwalić nam trzeba żywość akcji, łatwość w opowiadaniu, poprawną budowę i staranniejsze nieco pod względem językowym, obrobienie, są, jak wyżéj wspomnieliśmy, dziełem przejściowém, dziełem, które zapewne stanowić będzie granicę dwóch epok w powieściopisarskim pana Sabowskiego zawodzie. Uchybienia wskazane powyżéj z tego głównie wypływają charakteru, dla tego o zdolnościach jakie p. Sabowski w tym właśnie kierunku rozwinie, dziś jeszcze sądzić nie można, cieszyć się tylko wypada nadzieją, iż głębsze studja i kształcenie zmysłu spostrzegawczego mogą go do lepszych doprowadzić rezultatów. —

J. M.

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

Ztąd dopiéro otworzył się nam widok szeroki na wszystkie strony świata. Ale jakże miękkie i słabe było jego wrażenie! Nie czuliśmy wcale tego, że jesteśmy w górach, ale zdawało się nam, że z pierwszéj lepszéj wieży kościelnéj spoglądamy sobie na dość zwykłą panoramę. U stóp naszych hotele, daléj lasy i lasy jednostajne, owe zaś osobliwe skały, jedyna ozdoba Saskiéj Szwajcarji, pokryły się gdzieś w lasach i dolinach głęboko. W dali tylko na odległym horyzoncie stoją poważnie samotne góry: saskie, jak baby wielkanocne, czeskie, jak głowy cukru.

Czyliż godzi się tę nudną topograficzną kartę rozłożoną przed nami stawiać na równi z owemi majestatycznemi widokami ze szczytów tatrzańskich! Wejdź tylko n. p. na Krzyżnę i spojrzyj w około na tych granitowych gigantów, co się rozsiadły na czternastomilowéj Tatr przestrzeni, a dreszcz cię przejmie na widok téj straszliwéj armji nasrożonych olbrzymów, zastępujących ci drogę złowrogo od wschodu, południa i zachodu. Począwszy od wysuniętego najbardziéj na północ Murania, aż do Rochaczy na Orawie, wszystko to groźno spozierając na ciebie, zdaje się mówić: podziwiaj nas zdala w pokorze, ale nie waż się zbliżać zuchwale!... I tak stoisz zaskoczony niezwykłą wielkością alpejskiego obrazu nie wiedząc co wprzód podziwiać, bo i czegóż ci tu braknie w téj podobłocznéj krainie? Wszystko, coś tylko czytał o górach, coś marzył i prześnił, masz w spotęgowanéj rzeczywistości przed sobą. Pragniesz bezdennych przepaści? stań tylko na krawędzi Buczynowéj doliny — a cofniesz się z przerażenia!... Ach! gdyby cię w Tatrach chcieli przewodnicy tak straszyć bezdennemi otchłaniami jak w Saksonji, pewnobyś z nich żywy nie wrócił!... Czy chcesz daléj górskiego potoku? spojrzyj tam na dół do doliny Roztoki: widzisz tę białą jak śnieg wstęgę iskrzącą się w słońcu srebrnym połyskiem? to potok gwałtowny pieni się i wre w kamienistém łożysku. Ciekawyś może zkąd ten grzmot ustawiczny pochodzi? to spójrz nieco wyżéj, tam ku owym stawom modrym: widzisz tych kilka progów skalistych piętrzących się całemi ścianami jeden ponad drugim, po nich zwiesza się z góry coś niby powiewna, biała firanka u okna — to potężny wodospad alpejski 150 stóp wysoki, którego huk aż tutaj cię dochodzi i zdumiewa. Od czasu do czasu słyszysz jak gdzieś gruzy spadają po turniach... któż je zrzuca? — to kozica tatrzańska, którą ci przewodnik dopiéro ukazać musi, tak drobniutką wydaje się z daleka. Nad tobą orzeł zakréśla w powietrzu poważne kręgi, gniewny, że śmiesz wdzierać się w jego regjony. Pragniesz nareszcie rozległych widoków? o wstąpże tylko na który z onych wielkoludów strojnych świecącemi śniegi, nie lękaj się ich, bo czegóż człowiek, pan stworzenia, nie ujarzmi na ziemi. Każdy z tych groźnych olbrzymów aż do króla Gerlacha ma swą piętę Achillesa, z pomocą któréj możesz go zwalczyć i z dumą stanąć na jego barkach zuchwałych. O jakiż cudny odsłoni ci się ztamtąd widnokrąg! bogaty rozmaitością szczegółów, uroczysty powagą z niego wiejącą, nieskończony wielkością. Nieskończony, mówię, bo trudno ci prawie rozeznać gdzie kończy się ziemia, a niebo zaczyna: tak nieznacznie

nikną w oddali najskrajniejsze linje tego zaczarowanego koła, którego promień 20—30 mil wynosi.

Widne ztamtąd twemu oku
Okolicznych wieżyc dachy
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice*).

Ale te wszystkie szczegóły maleją do mikroskopijnych rozmiarów: to nikną, to słabo tylko migocą w niezmiernéj oddali. Niebotyczny grzbiet granitowy unosi cię wysoko w nieziemską krainę. „Wszystko w głębi pozostało i życie ludzi i ók morskich gromady, i kosodrzewiny i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiéj kozy i gniazda tatrzańskich orłów i wszystko przepadło w toni głębokiéj. Tu sam Bóg tylko mieszka w majestacie swoim. Sąsiadujemy z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły nas sobą: tam ziemia gdzieś tonie pod nami, tu sklepi się bezdno błękitów niebieskich. Duch wiekuistości powiewa... wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią niby dymy ofiarnych kadzideł: poséła je świat ku niebu jako modły dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem“**). Tam też czujesz całą istotą swoją, że jesteś w świecie prawdziwie alpejskim: takie to wszystko olbrzymie, w kolosalnych rozmiarach, niezwykłe! Przeczuwasz, że tak musi być w Alpach, bo wyobraźnia twoja napróżno pracuje, by sobie wytworzyć wspanialsze obrazy!...

Ale tutaj — ze szczytu Winterbergu trudno ci dociec, czemu te skromne góry saskie, noszą tak dostojną nazwę — Szwajcarji! Ttomaczyłem sobie w końcu, że jak dziecko patrząc na lalkę swoją z porcelanową główką mniema, że to rzeczywista i żyjąca jest panienka, tak też i Sasi patrząc przez prysmat prostodusznéj fantazji na te kilka skał cudackich i pagórków osądzili, że te góry ich co najmniéj Szwajcarją nazwać się godzi.

Powiódłszy jeszcze raz oczyma w około zeszliśmy do sali jadalnéj na obiad. Po chwili przybyło owych dwóch oficerów pruskich i zasiedli także przy drugim stole. Wśród obiadu przerzucaliśmy dwie spore „księgi obcych“ szukając polskich notatek i uwag. Pomiędzy wielu niemieckiemi, angielskiemi, francuzkiemi i rosyjskiemi mało tylko było można znaleźć polskich. A i z tych niektóre nie wielką nam chlubę przynoszą, szczęściem, że z cudzoziemców prawie nikt po polsku nie umie. Otóż n. p. jakiś dobrodziéj niewymieniając wszakże swego nazwiska taką podaje receptę:

„Kogo brzuch boli niech się wódki napije!“

Ktoś inny biorąc na się poważną rolę krytyka, podpisał pod tém: „zły dowcip!“

Nieco daléj snać młodzieniec jakiś chciał także śladem tylu podróżnych coś napisać dla potomności, ale cóż? kiedy natchnienie nieprzybywało w pomoc, więc krótko a zwęzłowato rzucił kilka obelżywych] epitetów.

Inne poważniejszéj już były treści. Kilka kartek daléj zapisało swe imiona dwóch akademików z poznańskiego. Jeden z nich idąc na Winterberg po żwirowéj ścieżce, wystawiał sobie pewnie, że się pnie co najmniéj na szczyt Montblanc'u, bo napisał z dumą:

Nie mądry kto wpośród drogi
Straci odwagę i męztwo
Im większe ciernie i głogi
Tém jest pewniejsze zwycięztwo.

Niechcąc jednakże nikomu, broń Boże! ubliżyć, przypuścić też można, że wiersz ten jest tylko chlubnym wyrazem bohaterskiéj walki jaką większa część uczącéj się młodzieży z przeciwnemi losy śród nauk uniwersyteckich toczyć musi.

Ktoś inny znowu, przygnieciony jakiémś cierpieniem, niewiadomo z jakiego źródła płynącém, nieznalazł nawet w Saskiéj Szwajcarji ulgi i pociechy:

Niemasz wiosny gdzie cierpienia,
W tęskném sercu wieczna zima.

Bolesne i smutne wrażenie zrobił na nas młody jeden człowiek z Królestwa, który z wielką goryczą wylewa skargi swoje, że jakkolwiek chciwy nauki, nie może jéj jednak znaleść w uciśnionéj ojczyźnie, lecz musi jéj szukać u obcych. Po tym wstępie przytoczył w całości znany ów wiersz pod tytnłem „Napis na bramie piekielnéj!“ Te słowa i inne niektóre notatki, nieraz krwawemi łzami pisane, pochodziły widocznie od naszych nieszczęśliwych wychodźców. Przypomniał mi się tu mimowoli ów przepolszczony wiersz z Eneidy w Grenadjerze Godebskiego:

Nie ma takiéj krainy, nie ma prawie ludu,
Gdzieby ślady nie doszły klęsk naszych i trudu*),

i ten wymowniejszy jeszcze:

Na alpejskich skał wyżynie,
Po środziemnych fal błękicie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierów szczycie;
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuzkiém każdém polu,
Po wszech ziemiach — po wszech wodach,
Sieli przyszłéj Polski siew
Boże ziarna — własną krew.

Tadeusz nie mógł się oprzeć pokusie, by nie uwiecznić także naszego tutaj pobytu, więc wziąwszy ołówka, coś tam zamaszysto i szybko kréślić począł.

— Ciekawym co też ty tam napiszesz? Pewnie nawymyślasz na biedną Saską Szwajcarję, co się zmieści.

— Bądź spokojny, — rzekł podając mi książkę. — Pamiętasz ową piosnkę z Tygodnika Illnstrowanego o Auguście II, co pojechał do Żyrowic, by tam zobaczyć zachwalane przez kogoś góry?

— Ach, już zgaduję twą myśl! — i spojrzałem na to, co Tadeusz napisał.

Były to dwa wierszyki obok siebie umieszczone:

	Mutatis mutandis:
„August wtóry	Człek niektóry
Ujrzeć góry	Ujrzeć góry
Do Żyrowic pojechał.	Do Saksonji pojechał.
Tam stanąwszy	Tam stanąwszy
I splunąwszy	I splunąwszy
Do dom nazad odjechał.	W Tatry sobie odjechał.
(Stara piosnka o Auguście II).	

A jakby myśl swoją niedostatecznie jeszcze wyraził, dołączył nadto prozą tę krótką naukę moralną: „Chcesz widzieć góry prawdziwe to jedź w Tatry, ale nie do Saksonji.“

— Doskonałe choć krótkie kazanie! — rzekłem zamykając książkę — obyś niém nawrócił chociażby jedną tylko zbłąkaną owieczkę!

— Dałby Bóg! — odparł patetycznie Tadeusz, naśladując ton kaznodziejski — a dostatecznie byłbym za me słowa wynagrodzony!

(Dokończenie nastąpi.)

*) Wincenty Pol. Pieśń o ziemi naszéj.
**) L. Tatomir. Tatry.

*) ......Quis jam locus...
Quae reg'o in terris, nostri non plena laboris.

POKŁOSIE.

— Wyszły w Gdańsku u Boeniga „Śpiewy religijne“ księdza Symforjana Tomickiego, jednego z najzacniejszych i najzasłużeńszych naszych kapłanów, wydawcy „Szkółki niedzielnéj“ autora „Kwiatów więzienia“, „Pierwszych papieży“, „Historji słynnych więźniów w Europie“ i wielu innych pożytecznych dziełek, których przewodnią myślą była oświata ludu.

Lud też wśród którego żyje i pracuje ksiądz Tomicki, umiał uczcić jego zasługi położone około wiary, oświaty i utrzymania narodowego w nim ducha a poparte trzyletniém więzieniem w Stadtvogtei w Berlinie i w fortecy Wisłoujściu — bo gdy w dniu 19 września r. b. obchodził zacny pleban 25cio-letnią rocznicę swego kapłaństwa, włościanie z własnego popędu przyczynili się do podniesienia téj uroczystości, niekłamany biorąc w niéj udział. — Oby ten dowód wdzięczności ze strony ludu był szlachetnemu kapłanowi wyrazem ogólnego uznania katolików-Polaków. — Wydane „Śpiewy religijne“ odznaczają się pięknym językiem i rzewnością myśli; — nie możemy powstrzymać się od przytoczenia prawdziwie poetycznego z nich wyjątku. Jest to warjant z innéj, znanéj już pieśni: „Aniele stróżu mój...“

Gdy wiosna szczęściem się śmieje
Rzucając róże i kwiaty,
I wszystkie błogie nadzieje
W świetne obloką się szaty,
I swobód tryśnie mi zdrój,
Ach nie opuszczaj ty mnie!
....
O Święty Stróżu Aniele,
Mój rozum prawdą oświecaj,
I myśli skieruj w swe cele
I wolę świętą mi wzniecaj.
Pal ogniem serca rdzę,
I w męztwo siły me zbrój.
Od pierwszych dni mych powicia
Do kresu, — i za kres życia
Aniele Stróżu mój,
Ach nie opuszczaj mnie.

Daj nam Boże jak najwięcéj takich kapłanów, co wiarę i narodowość umiejąc połączyć w jedno, świecą narodowi wiedzą, poświęceniem i przykładem!

Otrzymujemy z Krakowa:

Z pomiędzy nowych książek wydanych tego roku w Krakowie, zasługują na uwagę, tak zajmującą treścią, jak i oryginalnością formy: „Pamiętniki Suleżyckiego.“ Przed zaczęciem opowiadania, wyjawia autor w dość długiéj przedmowie do publiczności i swoich dzieci, powody chęci, którą nazywa obowiązkiem, do spisania szczegółowo swego życia. Usprawiedliwia się również ze złéj opinii, jakiéj używał w ojczyźnie, zachodnich Prusiech. Zbytecznėm nam się to ostatnie wydaje; w ciągu bowiem szczeréj, że się tak wyrażę, spowiedzi, czynów siedmdziesięcioletniego żywota, poznać łatwo można szlachetny i prawy charakter, który u poczciwych ludzi zawsze znajdzie uznanie i szacunek, wszakżeż najsprawiedliwszego nawet, jadem goryczy zatruta obmowa oszczerców nie ominie! Pamiętniki zaczyna autor od opisania najpierwszych lat młodości swojéj i rodziny, jak również i stosunków familijnych w przeszłości téjże. Tyle zmian i rewolucji krajowych przeszedłszy, zastanawia się pan Suleżycki nad niemi ze stanowiska polskiego szlachcica, z pod zaboru pruskiego, którego ówczesne postępowanie z narodem polskim, a szczególniéj szlachtą, w jaskrawych barwach wystawia. Każdego kogo tylko ruch polityczny tamtych prowincji obchodzi, książka ta zajmie niezawodnie. Usposobienia obywateli bardzo jasno skreślił autor; do wszystkich bowiem czynnych, a następnie prześladowanych należąc, zaszczycony przytém zaufaniem rodaków, mógł łatwo pojąć i ocenić, istotne tychże obywatelskie i patrjotyczne zalety.

Całe to dzieło w ogóle, chociaż pięknym językiem Kraszewskiego i Zacharjasiewicza nie zachwyca, chociaż umysł czytelnika zbyt szorstkiemi, a nawet niestosownemi wyrażeniami często razi podobać się jednakowoż powinno, takie z niego wieje ciepło poczciwego serca i szczery patrjotyczny zapał Polaka, połączony z praktycznemi prawdami wypróbowanego gospodarza.

Helena O......“

— J. H. Rychter ze Lwowa, założył księgarnię polską w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiéj. P. Rychter, wydawca „Strzechy“ umiał sobie we Lwowie zjednać szerokie zaufanie, — dla tego też prawdziwie się cieszymy z podobnego dla Poznania nabytku.

— Władysław Koziebrodzki, wykończył podobno komedję p. n.: „W jesieni“

— W zeszłą sobotę 29 p. m. rozpoczęło nowe towarzystwo p. Dobrzańskiego szereg przedstawień tak powszechnie znaną a mimo to nie starzejącą się sztuką Fredry (ojca) Śluby panieńskie. — Przywodzić treść sztuki byłoby zupełnie niepotrzebném, mało kto pewnie jéj nie zna, jedynie wspomnieć tu winniśmy o artystach biorących w niéj udział. Jużto widzowie ogólnie wynieśli z tego pierwszego przedstawienia przeświadczenie, że Poznań posiada towarzystwo dramatyczne mogące się śmiało ubiegać o lepsze z lwowską i krakowską sceną. Co więcéj, — podczas gdy lwowska dziś opustoszona, gdy w krakowskiéj obok pani Hoffmann i pana Ładnowskiego syna i wreszcie p. Bendy reszta personału jest arcy-słabo obsadzoną, poznańskie towarzystwo dopiéro rozpoczynające może się już poszczycić kilkoma prawdziwie swój zawód pojmującymi artystami.

Podczas sobotniego przedstawienia p. Wolański w roli Gustawa pokazał tyle znajomości prawdy czy to w chwilach rozrzucenia owego lekkomyślnego, nieco stryjowskiém pobłażaniem popsutego trzpiota, czy też wtedy gdy opanowany prawdziwém uczuciem wypowiada te tyrady, wzniosłe wyłącznie w ustach prawdziwego artysty — dla miernego zaś będące zazwyczaj ośmieszającym go szkopułem. To też gdy p. Wolański mówi n. p. te słowa:

„Nie wierz Anielo téj pieszczocie wzroku...“ itd.

lub gdy wykłada Radostowi teorję magnetyzmu serca, widzowie, którzy zazwyczaj słowa tego rodzaju przyjmować zwykli z pewnym szyderczym półuśmieszkiem — z dziwném na ten raz słuchali ich natężeniem, mimowolnie poważniéj nastrojeni. Scena owéj rozmowy zakończonéj snem i scena listu również były niezrównanemi. —

Klara (pani Wolańska) odrazu zjednała sobie sympatję widzów, nietylko grą staranną, wykończoną i wszelkim wymogom odpowiadającą, ale i powierzchownością rzeczywiście pociągającą; — obok tak dobrze oddanych miejsc jak: gdy się dowiaduje o radach udzielanych jéj wielbicielowi Albinowi (p. Kwieciński) przez Gustawa, jak owa gra słów w sprzeczce z Gustawem z prawdziwą oddana elegancją, jak owo ironiczne:

„Wyższości mężczyzn nad zdanie kobiéty
Nadto przed chwilą doznałam niestety .“ itd.

raziła nas nieco owa przysięga nie dość poważnie, nie dość z wiarą w siebie i tém młodzieńczém silném przeświadczeniem, jakie jéj towarzyszyć było powinno, wypowiedziana. Jest to jednak drobna usterka w obec całości artystycznéj gry pani Wolańskiéj.

Przedstawienie zakończono żywym obrazem. — Wpośród dwóch uwieńczonych medaljonów Fredry i Słowackiego, dłuta Leopolda Steinmana, czytaliśmy słowa J. N. Kamińskiego:

Wiek swój poniża zdaniem zardzewiałém,
Kto czczéj zabawy szuka tu powodu!
Silniéj niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu.

Nazajutrz dawano „Zrzęda i przekora“ Fredry (ojca), w któréj młody dyrektor powitany został przy wejściu grzmotem oklasków; — był to dowód sympatji, jaką Poznań zawsze okazywał

p. Dobrzańskiemu, — dziś do dawnych zasług dołączył on nową, dając miastu tak dobre towarzystwo; bo każdy przyzna, że największe zamiłowanie ojczystéj sceny słabnie, gdy się na niéj spotykamy z nieudolnością. — W drugiéj sztuczce tłomaczonéj z francuzkiego: „Być kochanym lub umrzeć“ p. Kwieciński grał z wielką werwą; piękną grę jego mieliśmy już sposobność ocenić w roli Albina, mimo że kreacja ta sama przez się jest najwyższą przesadą i nieprawdopodobieństwem, co nieskończenie utrudnia zadanie artysty.

— **Na pamiątkę stuletniej rocznicy pierwszego rozbioru Polski** wydaje A. Nowolecki w Krakowie dziełko ludowe, nie przechodzące rozmiarem dziesięciu arkuszy druku, opracowane w sposób obrazowy i zajmujący, ozdobione licznemi illustracjami, wykonanemi przez Juljusza Kossaka, W. Eljasza i innych artystów. Przedpłata na to dziełko pamiątkowe wynosi 12 sbr. — W tymże celu wydawnictwem zajmują się, ile nam wiadomo, Dziennik Poznański, hrabia Plater w Rapperswylu i nasz Tygodnik Wielkopolski. — Oby nieobojętność naszéj publiczności dla płodów ducha polskiego w rzeczy saméj dowiodła żywotności narodu od stu lat podbitego.

— **J... B...** wydał w Wilnie dzieło p. n.: „**Dubissa**“ główna rzeka w dawném księstwie Żmujdzkiém, dziś w gubernji Kowieńskiéj.

— **Gustaw Roszkowski** ogłosił w Warszawie dziełko p. n.: „Stanowisko szkoły historycznéj w nauce prawa.“

— Odbieramy z **Krakowa**:

„Wczoraj Rychter rozwinął swój niepospolity talent w Moliera: l'Avare; — gra niezrównanie, — sala teatralna zaledwie była pełna a nawet dwie loże niezajęte, ale dziwić się temu nie można, źle wybrał dzień, bo w tym samym czasie były nieszpory z powodu Matki B. różańcowéj a u żydów kuczki.“

— Z ostatniego sprawozdania zarządu **Czytelni w Kołomyi** która „nie powstała jako dojrzały owoc kwitnącéj oświaty ludowéj, ale utworzoną została przez klasę wykształceńszą jako środek do podźwignienia mniéj oświeconych braci naszych, jako lekarstwo niejako do przebudzenia ludu z letargu i poprowadzenia go do lepszéj doli,“ wyczytujemy z prawdziwą radością, iż rzeczona czytelnia rozporządza już 1079 tomami dzieł poważnych i belletrystycznych.

— W tych dniach odebraliśmy list, który z powodu ważności kwestji, jaką podnosi w całości tu zamieszczamy:

Szanowny Redaktorze!

Niedawno pytał mnie przyjaciel, jakie książki byłyby najstosowniejszemi, najlepszemi i niezbędnie potrzebnemi każdemu Polakowi do założenia maléj biblioteczki domowéj?

Przyznam się żem był w ambarasie, boć téż nie łatwo na to odpowiedzieć.

Po namyśle więc poleciłem mu przedewszystkiém kupić historję narodu polskiego i wymieniłem mu kilka dzieł, podnosząc zarazem ich dodatnie i ujemne strony, o ile to zaczerpnąłem z sądu jednego z pism naszych literackich.

Najlepszym podręcznikiem historji polskiéj w I. tomie jest Lelewela, Dzieje Polski aż do śmierci Stefana Batorego — tylko że się na śmierci tego króla kończy. Całość zaś zawiera Schmitta, Dzieje Polski aż do dni naszych, także w I. tomie. Z obszerniejszych dzieł najlepszém jest: Moraczewskiego, Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj, tomów 9 — ale także tylko do Jana Kazimierza doprowadzona. Szujskiego, jest bardzo stronnicza i nie ma w niéj ścisłości czyli prawdy historycznéj. — Koronowicza Słowo dziejów polskich w 3 tomach jest więcéj poglądem filozoficznym. — To są wszystkie, jakie znam księgi historyczne.

Według mego zdania kup historję Schmitta a do niéj mappę Rzeczypospol. przez Topolnickiego. Oprócz tego, dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kochanowskiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Czajkowskiego, Kraszewskiego, Winc. Pola, Lenartowicza, Goszczyńskiego. Możesz także zakupić wydanie Bibljoteki ludowéj, wychodzącéj staraniem Władysława Mickiewicza w Paryżu, (które to wydawnictwo teraz, jak mi się zdaje, jest zawieszoném) a nawet niektóre dzieła zagranicznych autorów, które kwestję naszą lub słowiańską w ogólności traktują.

Mój kochany, odparł mi, to coś mi tu wyliczył, jest wszystko bardzo piękne i pożyteczne, lecz pozwól sobie zrobić uwagę, że chcąc wszystko to nabyć, trzeba mieć i kwestję pieniężną na oku. Gdybym wszystkie te dzieła chciał kupić, musiałbym rozporządzać znacznym funduszem, którego jak wiesz, tu za granicą żaden z nas nie ma; chcąc książki choćby po trosze nabywać, jeszcze byłoby to niepodobieństwem — bo weź n. p. jednego Lelewela lub Moraczewskiego, za którego musisz naraz gotówką 10—15 a i więcéj reńskich w. a. złożyć. Gdybyto nasze dzieła na sposób zagranicznych wydawnictw, w luźnych zeszytach, po cenach bardzo zniżonych, azatém każdemu przystępnych, wydawano, wtenczas byłoby każdemu z nas, nietylko za granicą ale i w kraju, bardzo ułatwioném kupno narodowych utworów. Niech wyjdzie co tydzień mały zeszyt po 5 lub 10 centów, a zobaczysz że zyska na tém publiczność i wydawcy.

Przyznaję, rzekłem, że masz słuszność; powiem ci nawet, że w zeszłym roku redakcja Dziennika Literackiego przedmiotowi temu osobny artykuł p. n. „Tanie wydawnictwo“ poświęciła, lecz o ile sobie przypominam, traktuje tę kwestję najwięcéj w własnym interesie — wydawnictwo Bibljoteki Mrówki — które realnie wziąwszy jest rzeczywiście tanie, — na pojedyncze indywidua jednakowoż jest drogie. — Tak jest, tylko na sposób wydawnictw dzieł zagranicznych, w formie kieszonkowéj, w małych tygodniowych zeszytach, po bardzo umiarkowanéj cenie (5 lub 10 centów) byłoby każdemu umożebnione nabycie naszych klasycznych utworów. — Wiesz co, udam się do Redakcji Tygodnika Wielkopolskiego, przedłożę jéj myśli i życzenia nasze i poproszę ją o radę... Drożyński.

W odpowiedzi donieść Panu możemy, że myśl jego dawno jest już myślą redakcji — **spopularyzować dzieła naszych najznakomitszych autorów** — uczynić je przystępnemi dla ogółu, u nas gdzie dotąd książki są tak wygórowanie drogiemi w porównaniu w innymi krajami — było i jest zamiarem Tygodnika, i, co Pana pewnie ucieszy, donieść mu możemy, że wkrótce, kto wie nawet czy nie od przyszłego roku myśl ta wejdzie w życie, poczyniliśmy już bowiem w tym celu niektóre kroki wstępne u rodzin autorów.

Przeprowadzenie tego zamiaru w kraju naszym nie będzie jak w Niemczech spekulacją, bo naród nasz nie dorósł jeszcze do tego, aby wszystkie klasy, jak to ma miejsce w Niemczech, brały w takiém wydawnictwie udział; dla nas jednak dostateczną będzie myśl, że choć w części przyczyniliśmy się do rozszerzenia oświaty w Ojczyźnie.

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa.

1. Alfons Oświecimski z Oświecima p. Doruchowem.... 2 egz.
3. Adam Lew hrabia Sołtan z Waplewa p. Starym Targiem.......... 1 „

Skrzynka do listów.

Panu X.. A.. B.. Rozwaliny czyli uwagi nad rewolucjami narodów, drukowane były na końcu przeszłego lub na początku obecnego stulecia; — autorem ich jest Konstanty Franciszek de Chasseboeuf-Volney; — nazwiska tłomacza polskiego nie znamy.

Panu Józefowi J.. z Karyntji: Z nadesłanych nam pieniędzy zostaje na przyszły kwartał 20 centów.

Panu Wincentemu Ł..... w Ga.... i W. N..... w So.... Wysłaliśmy życzone książki.

Pani M.... W.... w So.... Postaramy się o dzieła chwilowo wyczerpane.

Panu Florjanowi Zagłobie z Chełmna: Wiersza jego zamieścić nie możemy.

Dr. J.... M.... J.... w Dôles: Nadesłaną przesyłkę odebraliśmy. Dziękujemy.

Wołodemu Skibie w Krakowie: Obywatel Duszyński z Pakości, wniósł $7\frac{1}{2}$ sbr. przedpłaty na Coś za czwarte ćwierćrocze.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.